

# O\_KAZ

Literatura o Kazimierzu, vol. 3

---

# No9

---

ZOŚKA PAPUŻANKA

ZOŚKA PAPUŻANKA

# JÓZEFA

22

Pies czujnie, bez ruchu wpatrywał się w białe drzwi. Jego sylwetka była spięta, gotowa do natychmiastowego skoku w wolność, gdy tylko na klamce pojawi się dłoń posiadająca ludzką umiejętność naciśnięcia i otwarcia świata. Naprężone mięśnie drżały, ale zwierzę czekało cierpliwie, wiedząc, że rytuały muszą się wypełnić do końca, podobnie jak jego psi pęcherz.

---

Introdukcją rytuału było jedno słowo: idziemy, które dziadek mówił do psa bardzo poważnym tonem i które dla psa oznaczało niezwłoczne ustawienie się przy drzwiach i co najmniej godzinę wpatrywania się w nieruchomą zwierzyńę klamki oraz tortur przepelnionego pęcherza. Pan i jego pies nie uznawali bowiem identycznej interpretacji czasownika: iść. Dla psa słowo to oznaczało gnanie z wiatrem i łapanie mieszających się zapachów w nienasycone nozdrza, omijanie ludzi w takim tempie, by nie byli w stanie rozpoznać, co ich omija, pośpieszne obsikiwanie muru kreską nigdy niezatrzymującego się pogromcy gołębi. W słowniku dziadka ten sam czasownik oznaczał: golić się, ubierać, czesać. Wypastować buty. Wszystko w tempie dziadka, nic w tempie psa. Psie *prestissimo furioso* musiało codziennie zmierzyć się z dostojnym *largo* dziadka, i codziennie przegrywało.

Dziadek ostrzył brzytwę na stojąco i golił się na stojąco, wyprężony jak struna, patrząc w prostokątne lustro zawieszona na drzwiach szafy w dużym pokoju, prześwietlonym, przesyconym wręcz blaskiem miodowego światła wpadającego przez wysokie okna. Gdy dziadek się golił, najlepiej było być w kuchni albo nie być wcale, jeden bowiem dźwięk zakłócający powolną jazdę brzytwy po policzku powodował, że dziadek odwracał się od swojego odbicia w lustrze i patrzył na hałasującego bezwzględny, karcącym spojrzeniem. Nad kanapą wisiał ślubny portret babci i dziadka, czarno-biała fotografia w drewnianych ramach; babcia trzymała bukiet kalii, których podobno nie powinno się używać do ślubu, ale może nie wiedziała, a może miała ten przesąd w nosie; dziadek patrzył już wtedy karcącym i bezwzględny spojrzeniem. Lata treningu sprawiły, że umiał spojrzeć człowiekowi w taki głąb, którego się człowiek w ogóle nie spodziewał w sobie zastać. Lepiej było więc nie asystować przy goleniu wcale. Jedno bezwzględne spojrzenie dziadka każdemu zaspokajało potrzebę bezwzględności na całe życie.

Grzebień przeskakiwał po włosach, podnosił się i opadał. Włosy dziadka zaczynały się dość daleko od linii brwi, ale dziadek nie łysiał;

zdjęcie znad kanapy świadczyło o tym, że zawsze tak było, od zawsze dziadek miał wysokie czoło, zakola, karzące spojrzenie i fale Dunaju, które tylko zmieniły kolor. Dziadek czesał się mokrym grzebieniem, ale i tak żadna z fal nie ośmieliłaby się wymknąć ustalonemu, od lat niezmiennemu porządkowi. Dziadek wkładał jasną, świeżo wyprasowaną koszulę, bo wychodzenie na spacer z psem było bardzo ważnym świętem państwowym, którego doniosłość lekceważył tylko pies, przestępujący z łapy na łapę pod drzwiami i skupiony wyłącznie na ciężarze swojego pęcherza. „Czekaj”, słyszał. Konał, ale czekał. Dziadek sprawdzał jeszcze, czy buty lśnią wystarczająco, a jeśli nie lśniły, doprowadzał je do lśnienia czarną pastą. Musiał być zadowolony ze swojego wyglądu, który to wygląd mógł z łatwością ocenić, spoglądając w powierzchnię wyglancowanych butów. Żaden pies nie mógłby się powstydzić takiego pana.

Czasami dziadek pozwalał mi iść ze sobą. Czasami.

Pies pędził po szerokich schodach, napinając smycz. Bardzo chciałam choć przez chwilę go poprowadzić; był piękny, duży i silny, każdy patrzył na mnie, gdy szłam z takim psem, ale wiedziałam, że będę musiała o to dziadka poprosić, bo dziadka należało o wszystko poprosić, nie zawsze będąc pewnym rezultatu. Może potem poproszę, może na ulicy mi się uda; pies miał amok w oczach, na zakrętach schodów uderzał kagańcem o narożne ściany, tak bardzo się śpieszył. Może dziadek pozwoli mi później poprowadzić ten żywy ogień.

Z kamienicy można było wyjść dużą, zawsze otwartą bramą na plac Nowy albo małymi, ukrytymi w drewnianej bramie drzwiami, na które nigdy nie umiałam trafić w drodze powrotnej, na ulicę Józefa. Ludzie przechodzili ulicą Józefa, żeby przejść ulicą Józefa; wcale nie po to, żeby podziwiać fasady, kupić oryginalne rękodzieło czy usiąść przy kieliszku wina. Przechodzili, bo przechodzili, w codziennym pośpiechu, nieznanym turystycznych zachwyty pierwszego i być może

## ZOŚKA PAPUŻANKA

ostatniego razu. Turyści siedzieli wtedy na Rynku, tam kupowali rękodzieło, pili wino i zagryzali obwarzankami. Kazimierz miał spokój. Ulica Józefa miała własny rytm, szybszy niż kilka lat później, kiedy rozleniwiła się rzeką zadzierających głowy Ludzi ze Wschodu z aparatami fotograficznymi przyrośniętymi do gałki ocznej i grubych, kołyszących się Ludzi z Północy, wylewających się po obu stronach krzesła w restauracyjnych ogródkach. Ulica Józefa była ulicą Józefa, nie ulicą Krokodyli. Stukała rytmem ludzi idących do pracy i po zakupy, dyszała ziajaniem psa, który gnał do przodu na naprężonej do granic możliwości smyczy. Jedna z restauracji nosi nazwę INTROLIGATORNIA, ależ tak, mówi mój ojciec, dlatego że tu był zakład introligatorski, prawdziwy introligator, nie restauracja. A tam stolarnia. I jeszcze GRZEGORZEK NABIJANIE SYFONÓW, WODA SODOWA; pamiętam ludzi w fartuchach i dźwięk kompresorów, które te syfony nabijały, ding, ding, nie będziesz wiedzieć. A naprzeciwko wyjścia z naszej kamienicy wielki napis LITERNICTWO; facet wyglądał jak czapla, miał wszystko chude i pozaginane jakby do przodu, malował numery na taksówkach i nazwy firm na samochodach dostawczych, jak to jak malował, ręcznie malował; miał taki długi kij zakończony miękką gąbką, przykładał go do samochodu, opierał na nim rękę i malował litery. Zapomniałem, jeszcze Sarapata mechanik, naprawiał maszyny rolnicze i wszystkie dzieci się go bały, bo był wielki i ciężki. Ogromny chłop z małą sekretarką; prowadziła mu księgowość i chuda była jak zapalka, zapinała tę chudość pod samą szyję w sukienki jak z Drugiej Rzeczypospolitej. Baliśmy się i Sarapaty, i tej jego pozapinanej myszy od księgowości. Ale w sobotę wieczorem, kiedy było po robocie i Sarapata szedł do domu, włącziliśmy mu na te traktory i inne maszyny. Mieliśmy kryjówkę między murem a transformatorem, który tam ciągle stoi, nikt nas nigdy nie znalazł. Sarapata mechanik, tak, ale żadnej restauracji tu nie było. Sklep spożywczy na rogu Krakowskiej, owszem, ale szynk tylko na placu Nowym. Od ulicy Nowej i od naszego podwórka można było wejść

do stelmacha, nazywał się Kulczycki i miał bokobrody jak cesarz, siadał na stopniach i palił papierosa w lufce albo fajkę, nie pamiętam, pamiętam bokobrody, czy wystarczą bokobrody? Takie bokobrody powinny każdemu wystarczyć, nie wiesz, co pamięć wyrzuci, a co zostawi, coś zupełnie niepotrzebnego, a zostaje w tobie i tłucze się jak najważniejsza wiadomość w gazecie. Bokobrody stelmacha Kulczyckiego. Na pewno nie wiesz, kto to jest stelmach. Same niepotrzebne zawody, stelmach, introligator, nabijacz syfonów, liternik, sprzedawca nieprawdziwych papierosów, jeszcze był kotlarz. Żaden z nich nie byłby dziś potrzebny. Tyle niepotrzebnych zawodów, tylu niepotrzebnych ludzi, patrz, umierają i co dalej. Dalej naprawdę nic. A wiedziałaś, że w Centrum Kultury Żydowskiej mieściła się stolarnia? Pod oknem była specjalna dziura do podawania desek z ulicy, wóz podjeżdżał i podawali deski przez dziurę, bez wchodzenia do środka, bez tarabaniania się po schodach, tak im było wygodniej. A dalej sklep papieżniczy; ile razy się mama nade mną użalała, bo codziennie gubiłem obsadkę od pióra i codziennie musiała mi dawać pieniądze na nową, i codziennie musiałem iść do sklepu papieżniczego po nową obsadkę. Codziennie. Wyobraź sobie teraz te dni wszystkie, które są, gdy ciebie jeszcze nie ma, które są codziennie, zaczynają się czymś śniadaniem, gdzieś tam w środku mają: ojezu, znowu zgubiłeś obsadkę od pióra, co ja mam z tobą, ile to już pieniędzy na te obsadki nieszczęsne poszło, niech to już będzie ostatni raz, a kończą się czymś snem, czyjąś pamięcią, która nie jest twoja, bo twoja być nie może; ile w tym, co nazywamy własną pamięcią, jest pamięci innych, ile wiem, ile widziałam; masz to miasto tylko dlatego, że miał je wcześniej ktoś inny.

Ojciec mówił, że pamięta panią Barańską, która siedziała na podwórku przed garażem dziadka na wiklinowym krzeselku, w sukni z początku wieku, paliła papierosy, czytała gazetę i nikt nie chciał wyprowadzać samochodu z garażu, dopóki pani Barańska tam siedziała i paliła, tyl-

## ZOŚKA PAPUŻANKA

ko wszyscy przechodzili powolutku, żeby się przyjrzyć pani Barańskiej w sukni z początku wieku, na wiklinowym krzeselku odpoczywającej od roli Barbary, którą udawała w filmie *Noce i dnie*. Plac Nowy udawał Kaliniec, miasto, do którego Barbara przeprowadza się ostatecznie po śmierci swojego męża Bogumiła i z którego potem musi uciekać, bo wybucha wojna. Wracalem kiedyś nocą przez Miodową, mówi mój ojciec, skręcam, a tam wojna na placu Nowym. W środku nocy wojna, wyobraź sobie. Kaliniec udawał Kalisz, który opisała Maria Dąbrowska. Kiedy Barbara otwiera okno w swoim mieszkaniu w Kalińcu, jest to okno w kamienicy dziadka, na parterze. Barbara otwiera okno i patrzy na Rondel, który był Rondlem, dopóki nie wiadomo kto zaczął nazywać go Okrągłakiem. Od tej pory Rondel udaje Okrągłak i udaje, że ma w sobie zapiekanki i że tak zawsze było, chociaż ojciec mówi, że ależ skąd i że w Rondlu była jatka, czyli rzeźnik. I gruby pan, który sprzedawał dzieciom cukrowe papierosy w paski, żeby mogły udawać, że pała, gdy plac Nowy udawał, że jest Kalińcem, udającym Kalisz. Ja mówię coś ojcu, a ojciec odpowiada: ależ skąd, i tłumaczy mi, jak jest naprawdę, czyli jak było wtedy, gdy w Rondlu była jatka i cukrowe papierosy dla dzieci i kiedy na placu Nowym udającym Kaliniec ekipa filmowa kładła sztuczny bruk, żeby się dorożki trzęsły jak należy i żeby żołnierskie buty stukały, bo kiedy pani Barańska grała Barbarę, na placu Nowym prawdziwego bruku już nie było. Położyli udawany. Nie było też nigdy na placu Nowym rosyjskich szyldów na sklepach, więc ekipa filmowa musiała je namalować i powiesić, żeby plac Nowy mógł udawać Kaliniec, który udawał Kalisz, który był stolicą guberni Cesarstwa Rosyjskiego wtedy, gdy go znała Maria Dąbrowska. Ona pewnie by też powiedziała: ależ skąd, to wcale nie tak. Moja pamięć jest moją pamięcią, ojciec mówi: ależ skąd, pewnie dziadek też mówił do niego: ależ skąd. Wszystko inaczej.

Barbara w mieszkaniu przy placu Nowym wygląda przez okno i wspomina swoje życie z Bogumiłem; widzi zmarłego syna, widzi siebie na huśtawce w otoczeniu kolejnych dzieci, widzi, jak idą z Bogumiłem

wśród pól, płynie muzyka, postaci poruszają ustami, ale nie słysząc słów; wspomnienia Barbary nie mają własnych dźwięków, grają pożyczoną melodię w tle, są bezgłośnie, nieme.

Dziadek też wiele nie mówił. Nie warto było ze mną rozmawiać, nic się jeszcze we mnie wtedy nie zachowało, nie miałam niczego w środku, nie miałam własnego: ależ skąd, o czym można by było ze mną rozmawiać.

Pies skręcał w ulicę Izaaka, dziadek skręcał w ulicę Izaaka, najzwyczajszą w świecie ulicę Izaaka, przy której stała zniszczona synagoga. Dziadek szedł powoli, dostojnie, jakby rzeczywiście wychodził zaprezentować światu swoje nienaganne fale Dunaju i wypastowane buty, a nie z psem na spacer. Pies za to nie miał w sobie ani odrobiny dostojeństwa, szarpał się na smyczy, nie umiał i nie chciał iść przy nodze, podlewał każdy mur i ciągnął do przodu, jakby był połączony smyczą z wagonami pociągu, a nie z dziadkiem. Dziadek wyznawał wiele zasad, pies zaś wyznawał tylko zasadę zachowania pędu, pędu po wieczność. Wychodziliśmy na mały plac, na którym kiedyś ponoć były drzewa, potem ulicą Ciemną i Lewkową dochodziliśmy do Szerokiej. Pies z łatwością znajdował dziurę w ogrodzeniu, dziadek spuszczał go ze smyczy i pozwalał mu chwilę pobiegać po trawie za Starą Synagogą. Przechodziliśmy potem na plac Bawół, pusty i zacieniony jakimś osobliwym smutkiem, ależ skąd, powiedziałaby mój ojciec, na placu Bawół był handel, baby przyjeżdżały z nabiałem, rozstawiały jajka i sery i roły się jak pszczoły. Twoja pamięć moja pamięć, twój mój plac Bawół, twoja moja ulica Józefa, którą wracaliśmy do domu i na której dziadek wręczał mi czasem smycz ze zziąjanym, wybieganym, łaciatym wyżłem na końcu. Bogumił Niechcic w filmie *Noce i dnie* też miał wyżła, ale tamten wyżeł biegał sobie, gdzie chciał, nie musiał czekać na wolność ani jej szukać, wydierać jej wąskim uliczkom.



## ZOŚKA PAPUŻANKA

Zastanawiałam się, z kim pies wychodził, kiedy dziadek zachorował. Babcia nie miałaby sił na spacer w takim oszałamiającym tempie, pies mógłby ją pociągnąć i wyrzucić. Może wychodził z nim któryś z sąsiadów. Ależ skąd, mówi ojciec, milknie na chwilę. Myślę, że babcia po prostu go wypuszczała, bez rytuałów, bez pilnowania klamki, chyba zwyczajnie otwierała mu drzwi i czekała, aż wróci, może było jej nawet wszystko jedno, czy wróci czy nie, ale psu nie było wszystko jedno i wracał. Wreszcie nikt go nie zatrzymywał, nikt nie przeszkadzał w obskaniu samochodu czy jakiegoś zabytkowego muru, nikt nie kazał mu iść przy nodze, bo żadnej nogi obok nie było, tylko pełnia psiej wolności. Nikt nie mówił: idziemy, nikt: wracamy, pies sam dysponował swoim psim czasem, ale wracał. Czas nie chciał wrócić.

Wieczorem plac Nowy pustoszał i ciemniał. W świetle nielicznych latarni późno, zbyt późno widziało się mijającą cię postać. Śmietniki śmierdziały dogorywającym latem, z ich otwartych paszczy wychylały się głowy szczurów, tłuste ciała zakończone łysymi ogonami spacerowały nieśpiesznie, nie okazując najmniejszego strachu przed człowiekiem. Nowi ludzie nie sprowadzali się na Kazimierz, raczej uciekali stąd albo ich wysiedlano, ich dzieci rodziły się w innych dzielnicach Krakowa; zostali tylko starzy, człapiący powoli mieszkańcy kamienicy, którzy mówili dobry wieczór mojemu ojcu, starzy jak kamienica i niepotrzebni jak stelmach czy kotlarz.

Babcia podchodziła do drzwi po dwóch, trzech minutach, przemieszczała się wolno na chorych nogach; słychać było, jak wymawia na głos imię mojego ojca, zakończone znakiem zapytania. Ojciec odpowiadał, że tak, to on, i wtedy babcia otwierała. Gdyby ktoś chciał zrobić jej krzywdę albo ją okraść, przyszedłoby mu to niezwykle łatwo, wystarczyło potwierdzić, że się jest tym, o kogo pyta, jej synem, moim ojcem. Ale kto mógłby chcieć okraść kamienicę, której mieszkańcy niczego nie mieli, nawet kamienica nie była ich własnością. Babcia

siadała w kuchni i wzdychała. Ojciec ustawiał na stole lekarstwa, paczki pampersów dla dorosłych, duże torby ze specjalnym jedzeniem dla ludzi, którzy mogą jeść już tylko specjalne rzeczy. Siadał obok dziadka na łóżku, obracał go na bok, zdejmował mu piżamę. Trudno było uwierzyć, że można tak schudnąć w ciągu miesiąca. Skurczyć się. Jakby z motyla stawało się na powrót poczwarką i trzeba się było wcisnąć w tę szarą, ciasną skorupę. Dziadek bez okularów, z wielką głową nad chudymi, ptasimi ramionami, wyglądał jak szmaciana lalka, którą trzeba umyć i przebrać, żeby pobawić się w dom. Tylko role się odwróciły; mój ojciec podnosił swojego ojca jedną ręką, mył go, wycierał, przebierał, poprawiał poduszkę i odkładał na swoje miejsce jak porcelanowy przedmiot, łatwy do stłuczenia.

Dziadek patrzył na mnie wnikliwie, uporczywie, ale nie tak jak dawniej. Karzące spojrzenie gdzieś odeszło, zostało tylko na ślubnym zdjęciu nad kanapą. Szłam do dużego pokoju i chciałam się czymś zająć, ale wszystko tu było za duże, nie mogłam znaleźć żadnego drobiazgu, niczego, co można by wziąć do ręki. Na środku drewniany stół i cztery krzesła, pod ścianą ogromna, trzydrzwiowa szafa, zdjęcie nad kanapą czy też kanapa pod zdjęciem ludzi, którzy kiedyś brali ślub; obok okna wysoka, stojąca na podłodze toaletka z ogromnym lustrem wielkości człowieka. W rogach lustra stara powierzchnia tworzyła kręgi, jak kamień wrzucony do wody. Przeglądałam się w chorym lustrze, wyobrażając sobie starość. Piec kaflowy w rogu pokoju. W zimie ojciec będzie musiał przynosić węgiel z piwnicy, babcia przecież sobie nie poradzi. Czekałam, aż zawieszony między oknami zegar wybije kwadrans. Kiedy ma się zegar bijący kwadrans oprócz pełnych godzin, zziąjany pies czasu ucieka jeszcze szybciej.

Nie wiem, czy ojciec chciał, żebym jeździła z nim zabawiać babcie rozmowami o niczym i podglądać z daleka odchodzenie, kurczenie się, umieranie. Zawsze mnie pytał, czy chcę z nim pojechać na Józefa, tak

## ZOŚKA PAPUŻANKA

mówił, na Józefa; zawsze jechałam, ale w gruncie rzeczy nie byłam mu do niczego potrzebna. Nie miałam własnego: ależ skąd, nie miałam jeszcze niczego w środku, do czego mogłabym być potrzebna. Nabierałam w sobie dopiero, jak puste wiadro ustawione na cembrowinie, które ma zjechać w nieznaną ciemność.

Kiedy wychodziliśmy, nikogo już nie było na ulicy, wszystkie światła w oknach pogaszone, jakby Kazimierz umierał kwadrans po jedenastej w nocy. Bałam się cichego, ciemnego i wyludnionego placu Nowego. Bałam się tego, za czym tęsknię. Pamięć jest kompletnie nieodpowiedzialnym narzędziem. Ależ skąd.

Psa wzięliśmy do siebie.

---

**Seria „O\_KAZ.**

**Literatura o Kazimierzu, vol. 1”:**

**No 1 Łukasz Orbitowski**

*Kobra przegrywa w butelkę*

**No 2 Dominika Słowik**

*Sanatorium*

**No 3 Weronika Murek**

*Każdemu po razie*

**Seria „O\_KAZ.**

**Literatura o Kazimierzu, vol. 2”:**

**No 4 Ula Palusińska**

**& Michał Mądracki**

*Spacermistrz*

**No 5 Wit Szostak**

*Kazimierz i głosy*

**No 6 Julia Ain-Krupa**

*The Painted Lady*

---

**Seria „O\_KAZ.**

**Literatura o Kazimierzu, vol. 3”:**

**No 7 Mateusz Kołek**

**& Artur Wabik**

**No 8 Jacek Dehnel**

*Ćwiartka papieru*

**No 9 Zośka Papużanka**

*Józefa 22*

**Copyright**

© Stowarzyszenie Festiwal

Kultury Żydowskiej

**Redakcja i korekta całej serii:**

Anastazja Oleśkiewicz

**Projekt graficzny,**

**skład, łamanie:**

Oksana Shmygol

**Druk:**

Know-How

Piotr Kaczmarczyk

**Wydawca:**

Stowarzyszenie Festiwal

Kultury Żydowskiej

ul. Józefa 36

31-056 Kraków

[www.jewishfestival.pl](http://www.jewishfestival.pl)

**Cheder, kawiarnia**

**i dom kultury FKŻ**

ul. Józefa 36, Kraków

[www.cheder.pl](http://www.cheder.pl)

fb:cheder.krakow



# O\_KAZ

Literatura o Kazimierzu, vol. 3

---

Literackie portrety miast lub dzielnic to nie tyle dokumenty, zdające sprawę z historii danego miejsca, ile bardziej teksty stwarzające klimat. Miejska fikcja pozwala lepiej zrozumieć przestrzeń, w której żyjemy, ale również daje szansę, by wymyślić ją na nowo. Zboczyć ze znanych opowieści, zablądzić i obudzić się naprzeciwko budynku, którego wcześniej nie widzieliśmy.

Co XXI-wieczna literatura może powiedzieć o Kazimierzu? Jak go traktuje? Czy dzielnica Krakowa to główny bohater, zagubiona postać z drugiego planu czy raczej tło wydarzeń? Wymyśliliśmy O\_KAZ, żeby móc o tym opowiedzieć. Do trzeciej edycji projektu zaprosiliśmy do współpracy Zośkę Papużankę, Jacka Dehnela, Mateusza Kołka i Artura Wabika oraz poprosiliśmy ich, by potraktowali nasze pytania jako bazę, punkt startowy.

---

**Zośka Papużanka** ukończyła teatrologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, uczy języka polskiego w bardzo dobrej szkole. Mieszka w Krakowie z mężem i dwoma synami. Debiutowała powieścią *Szopka*, wydaną w 2012 roku, która zyskała duży aplauz wśród krytyków literackich, popularność wśród czytelników i przyniosła Autorce nominacje do Nagrody Nike i Paszportu Polityki. W 2016 ukazała się powieść *On* (kolejna nominacja do Paszportów Polityki), a w 2017 - *Świat dla ciebie zrobiłem*.

---

**Festiwal Kultury Żydowskiej i kawiarnia Cheder** powstały na krakowskim Kazimierzu, z inspiracji jego historią i kulturą. Bardziej niż świętem staramy się być procesem – procesem zmian w myśleniu i postrzeganiu żydowskiej kultury oraz zmian na samym Kazimierzu. Interesuje nas twórcza praca w dzielnicy i z dzielnicą, szczególnie że wydaje się ona dzisiaj nieco zagubiona i coraz mniej przyjazna mieszkańcom. O\_KAZ to nasz nowy program literacki. Zapraszamy do lektury trzech opowiadań oraz na spotkanie z autorami.

[www.cheder.pl](http://www.cheder.pl), [fb:cheder.krakow](https://www.facebook.com/cheder.krakow)

Projekt jest  
współfinansowany  
ze środków Miasta  
Krakowa.



Organizatorzy:



Patroni medialni:



ISBN 978-83-946664-8-4